

Przemysław Dakowicz: Rymkiewicz na rydwanie

Czytelnik nie wie, kiedy wikła się w Rymkiewiczowski świat, nie dostrzega momentu, gdy zostaje wciągnięty w środek opowieści



Czytelnik nie wie, kiedy wikła się w Rymkiewiczowski świat, nie dostrzega momentu, gdy zostaje wciągnięty w środek opowieści

Im dłużej zajmuję się krytyką literacką, tym wyraźniej widzę, że pisanie klasycznych recenzji to czynność jałowa, nieprzynosząca trwałych rezultatów, pogłębiająca rozproszenie i uniemożliwiająca koncentrację na tym, co istotne. W kulturze pojawiają się jednak dzieła, które domagają się reakcji, do których trzeba się jakoś ustosunkować, odnieść, których nie da się pozostawić bez komentarza, bo dotyczą w odbiorcy czegoś tak fundamentalnego, że milczenie o tym czymś

byłoby równoznaczne ze sprzeniewierzeniem się samemu sobie, oznaczałoby rezygnację z myślenia. Książka Jarosława Marka Rymkiewicza *Reytan. Upadek Polski*, bo przede wszystkim o niej chcę tu mówić, należy do kategorii fenomenów kulturowych wołających o jakąś elementarną refleksję, niewołających do pisania, dyskusowania, rozprawiania. Recenzji pisać nie chcę, pozostaje mi więc wejść w rozmowę z autorem, z profesorem Rymkiewiczem, a za sprawą profesora Rymkiewicza także z bohaterem jego książki, z Tadeuszem Reytanem, co czynię z obawą i nie całkiem chętnie, wiedząc jednak, że wyjścia nie ma, że to dialog nieodzowny, dialog mnie samemu — niechętnemu i pełnemu obaw — niezbędnie potrzebny. Chcąc być dialogiem, tekst, który właśnie zaczynam pisać, przemieni się zapewne w coś na kształt listu, listu do Jarosława Marka Rymkiewicza. Niekiedy będzie jednak wolał udawać recenzję. Najlepiej przyznać się od razu, że recenzją ostatecznie się nie stanie, ograniczę się w najlepszym razie do przedstawienia notatek poczynionych na marginesach książki.

Wszystko, co w niniejszym tekście przypominać będzie recenzję, ma służyć zapoznaniu czytelnika z książką wyjątkową, która — podobnie jak wcześniejsze tomy „tetralogii polskiej” (*Wieszanie, Kinderszenen, Samuel Zborowski*) — ukierunkowuje i przemodelowuje nasze współczesne postrzeganie polskiej historii, zmusza do głębokiego namysłu nad sensem zbiorowego doświadczenia i wyznacza ścieżki interpretacji czegoś, co opatrzymy tu ryzykownym mianem „narodowego losu”. Wszystko, co w moich zapiskach przyjmie formę epistoły, co złoży się na dialog z profesorem Rymkiewiczem, znajdzie się tu jedynie (i aż) po to, by objawić adresatom (tzn. autorowi *Reytana* i czytelnikom szkicu) stan świadomości historycznej czy historiozoficznej trzydziestopięciolatka żyjącego w Polsce w drugim dziesięcioleciu XXI wieku. Ów stan świadomości — jeśli potraktować go jako reprezentatywny dla pokolenia właśnie wstępującego w dojrzałość i

pragnącego ujawnić swój stosunek do rzeczywistości — wydaje mi się jakoś tam istotny. Z jego opisu będzie można, być może, wyciągnąć wnioski na temat przyszłości tej zbiorowości, którą tworzymy, a którą nazwijmy, ryzykownie, narodem. Słowem, byłbym usatysfakcjonowany, gdybym czerniąc marginesy *Reytana*, zdołał przedstawić, choćby pobieżnie i punktowo, szkic własnego postrzegania (a wierzę, wiem, że nie jest to tylko moje postrzeżenie) Polski i polskości w tym właśnie punkcie historii, w którym się znajdujemy.

Fabuła i perwazja

Reytan to książka o historii, a może raczej — jak to bywa u Rymkiewicza — o jej interpretowaniu i rozumieniu. Jest bowiem autor *Wieszania* jednym z najbardziej konsekwentnych i twórczych semiologów polskości, tzn. analizuje on i interpretuje znaki wytworzone w procesie kształtowania się i utrwalania świadomości zbiorowej Polaków, poddaje je wieloperspektywicznemu oglądowi i opisowi, nie powstrzymując się przy tym od pewnego specyficznego modelowania i ukierunkowywania naszego myślenia o sobie samych w epoce postkomunistycznej, z której od dwudziestu lat nie potrafimy wyjść. Tego rodzaju praca intelektualna — choćbyśmy nawet nie zgadzali się z jej ostatecznymi rezultatami — ma pierwszorzędne znaczenie dla zrozumienia punktu, w którym znalazła się zbiorowa świadomość. Odnoszę zresztą wrażenie, że sam Rymkiewicz wolałby mówić nie o „punkcie”, a raczej o zaułku świadomości. W zamysł twórczy stojący u początku „tetralogii polskiej” jest wszak wpisane przeświadczenie o tym, że w wyniku zdarzeń politycznych ostatnich dwóch-trzech wieków utraciliśmy przyrodzoną zdolność rozumienia samych siebie, że jako masa pozostajemy indyferentni na sygnały zmiany, słowem — nie potrafimy

wybić się na niepodległość myślenia, odrzucamy możliwość decydowania o samych sobie, a co za tym idzie – pozwalamy prowadzić się z zewnątrz.

Przyjrzyjmy się sposobowi komentowania i interpretowania materiału historycznego na kartach *Reytana*. Po pierwsze, jak zawsze u Rymkiewicza, źródła. Podstawą refleksji nie jest bowiem historia wypreparowana, sztuczny twór powstały w zaciszu pisarskiego gabinetu. Autor *Reytana* wychodzi od słowa pisanego, od przekazów z epoki; jego praca – takie wrażenie możemy odnieść w trakcie lektury (Rymkiewicz chce, byśmy tak myśleli) – polega wyłącznie na skomentowaniu i opatrzeniu objaśnieniami autentycznego materiału osiemnasto- i dziewiętnastowiecznego. W tym sensie najbardziej charakterystyczny dla metody pisarskiej poety z Milanówka jest rozdział zatytułowany *Trochę przypisów do „Dyaryusza czterech pierwszych dni”*. W kilkudziesięciu wprowadzeniach natrafiamy na następujące wyznanie:

Daję tu garść przypisów, które prostują lub uzupełniają, lub uściślają wiadomości [...]. Tych przypisów mogłoby być znacznie więcej, ale – choć produkowanie przypisów to robota, którą bardzo lubię – starałem się ograniczyć ich ilość, nie chcąc stwarzać dodatkowych i może zbędnych utrudnień dla czytelnika – im więcej szczegółów, tym trudniej się w nich połapać.[1]

Uważny czytelnik wie jednak, że powyższe zdanie jest do pewnego stopnia bałamutne, że nie tyle nie daje możliwości pełnego wglądu w warsztat Rymkiewiczowski, ale celowo zaciemnia – cały tom poświęcony Reytanowi jest w istocie zbiorem wszelkiego rodzaju

przypisów, dopisków i uzupełnień. W rzeczonym rozdziale metoda ta została sformułowana *expressis verbis*, w pozostałych realizowana jest niejako w utajeniu, stosowana z przebiegłą wirtuozerią, sprawiającą, że ulegamy złudzeniu. Zdaje nam się, że czytamy dzieło, którego autor w sposób maksymalnie obiektywny stara się (i nas) zbliżyć do prawdy o niezłomnym pośle na sejm rozbiorowy, o okolicznościach kwietniowych wydarzeń roku 1773 opisywanych w pamiętnikach epoki, następnie zaś przedstawionych na słynnym obrazie Matejki. Faktyczny cel pracy Rymkiewicza jest jednak inny. Nie po to pisze on o Reytanie, by pisać o Reytanie, ale po to, by powiedzieć nam kilka słów elementarnej prawdy o nas samych. W natłoku faktów (ich nawzajem wykluczających się wersji), w zalewie szczegółów i w zatrzęsieniu drobiazgów, z których każdy ogląda się tu po wielekroć z różnych stron, zapominamy o tym, bo — o to właśnie idzie — mamy zapomnieć. Mamy zostać ugodzeni celnie i pozostać niezdolni do obrony. Obiektywizm i dociekliwość autora demonstrowana w tych partiach tekstu, gdzie się minione wydarzenia i ich okoliczności z pietyzmem rekonstruuje, ma nas przysposobić do przyjęcia diagnoz znacznie donioślejszych, dotyczących już nie tylko wąsów lokatora hruszowickiej murowanki, ale naszego zbiorowego, narodowego, politycznego tu i teraz.

Jarosław Marek Rymkiewicz w mistrzowski sposób operuje skomplikowanymi technikami perswazyjnymi. To zresztą nie dziwi u tak wytrawnego znawcy literatury, szczególnie literatury romantyzmu. Bo właśnie w formach literackich pierwszej połowy XIX stulecia dałoby się odnaleźć antecedencje dla tego rodzaju pisania. Metodę twórczą autora *Kinderszenen* można przecież zobaczyć jako logiczno-strukturalne nawiązanie do wzorca romantycznego poematu dygresyjnego, z jego pozorowaną fabularnością oraz rzeczywistą perswazyjnością i dialogicznością. W poemacie dygresyjnym ciąg opowiadanych wydarzeń dostarcza pretekstu do zabierania głosu w

kwestiach rzeczywiście zajmujących uwagę autora; podobnie jest u Rymkiewicza – przeszłość stanowi jedynie lustro dla współczesności. Zresztą, sam twórca zdaje się do tego przyznawać, kiedy w najbardziej przejmującej scenie *Reytana* stwierdza: „jesteśmy jednocześnie w roku 2010 i w roku 1773” (R 155) albo gdy przekonuje, że Stanisław Staszic pisał *Przestrogi dla Polski* również dla czytelnika współczesnego, „dla nas”:

Kto teraz chciałby przeczytać *Przestrogi* (a jest to bardzo pouczająca lektura), powinien pamiętać, że książkę tę należy czytać nie jako jakieś dzieło historyczne, opowiadające o tym, co się wydarzyło dawno, dawno temu, dwieście kilkadziesiąt lat temu, lecz jako dzieło na tematy także i obecnie aktualne. Dopiero kiedy tak właśnie przeczyta się przestrogi, jako dzieło, które autor pisał i dla nas, widać dobrze, jaka to jest niemiła książka – jakie przykre rzeczy Staszic miał do powiedzenia Polakom. Jaką miał o nas nieprzyjemną wiedzę. (R 255)

Widzę i opisuję – czytasz i widzisz

Czytelnik nie wie, kiedy wikła się w Rymkiewiczowski świat, nie dostrzega momentu, gdy zostaje wciągnięty w środek opowieści, gdy zaczyna powtarzać autorskie gesty, reprodukować autorskie myśli, podejmować decyzje zgodne z oczekiwaniami jedyne demurga i przewodnika. Jak to możliwe? W jaki sposób się to wydarza?

Jedną z podstawowych technik stosowanych przez Rymkiewicza jest opowiadanie unaoczniające, tzn. narracja, w obrębie której używa się jedynie czasu teraźniejszego, tak by odbiorca miał wrażenie osobistego

uczestnictwa w przedstawianych wydarzeniach, by czuł się niczym ich bezpośredni świadek. Autor *Wieszania* z upodobaniem rekonstruuje w ten sposób sceny z odległej przeszłości, niezauważalnie angażując odbiorcę, skłaniając go do uznania subiektywnej wizji za całkowicie zgodną z prawdą historyczną lub przynajmniej za pożądaną, uzasadnioną, prawdopodobną. Oto przykłady:

Radziwiłłowie dobywają szabel osadzonych w czarnych furdymencie, Czartoryscy wyciągają swoje obosieczne rapiery, służący jednych i drugich rozpinają szare kapoty i widać, że pod kapotami mają proce i pistolety. Strumyki krwi ściekające z dębowych ław na posadzkę izby sejmowej, błyski wystrzałów, kamienie latające pomiędzy błyskami, zapach prochu, okrzyki konających. Damy piszczą i wrzeszczą, mdleją pod ławami. Adam Małachowski, marszałek starej laski, błaga, żeby nie gwałcono świętych praw Rzeczypospolitej, ale zaraz pada na kolana, przeбитo rapierną. Ten, co go przebił, podstępnie, od tyłu, już innemu krwawy rapier w plecy wbija. (R 86)

Widzimy teraz nakryty białym prześcieradłem stół w hruszowickim salonie, obok na krześle, stoi lakierowana skrzynka baranowickiego starosty. Profesor, odziany w szary gumowy fartuch (Alina z Hartinghów zawiązuje mu właśnie na plecach, na kokardkę, tasiemki fartucha), podnosi do góry ręce w takichże gumowych, ale nie szarych, raczej białych lub różowych rękawicach. Właściciel Naczy dyskretnie usunął się pod ścianę, ale przeciera binokle, żeby lepiej widzieć. Możemy zaczynać! (R 174)

Bodaj z najbardziej sugestywnym obrazem tego rodzaju mamy do czynienia w rozdziale *Pałace Ponińskiego*. Towarzyszymy tu (właśnie tak: towarzyszymy!) w wędrowce Adamowi Ponińskiemu, marszałkowi sejmu rozbiorowego, jednemu z największych zdrajców w polskiej historii.

Wyliczywszy wszystkie pałace i wille Ponińskiego, Rymkiewicz wyjawia, że udało mu się dotrzeć do informacji o jeszcze jednym pałacu, dotychczas nieznanym, który marszałek kupił od biskupa Antoniego Ostrowskiego w roku 1774. Budynek ów znajduje się dziś przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia oraz ulic Koziej i Trębackiej. Proces angażowania uwagi i imaginacji czytelnika odbywa się w przywołanym rozdziale podobnie jak w wielu innych miejscach książki i ma charakter trójstopniowy. Na samym początku pojawia się następujący komunikat:

Możemy z łatwością wyobrazić sobie Ponińskiego na tle fasady tego pałacu, Ponińskiego, który wchodzi do niego lub z niego wychodzi — i zaraz go sobie wyobrazimy. (R 152)

Teraz następuje retardacja — przywołanie kolejnych szczegółów związanych z lokalizacją pałacu, z jego otoczeniem i wyglądem. Potem informacja dotycząca widoku rozciągającego się z okien budynku. Tu jeden ważny szczegół: wychyliwszy się przez okno i spojrzawszy w prawo, mógł Poniński widzieć Pałac Radziwiłłów. „Ten, który później nazywano Namiestnikowskim, a jeszcze później Prezydenckim” (R 154) — dodaje Rymkiewicz. Za sprawą tej onomastycznej sztuczki (podanie trzech historycznych nazw tego samego obiektu) obejmujemy krótkim spojrzeniem przeszło dwieście lat historii. Możemy się już domyślać

dalszego ciągu — odniesienia terażniejszości do przeszłości, skonfrontowania przeszłości z terażniejszością. I faktycznie, już w następnym zdaniu czytamy:

Mógłby [Poniński] nawet zobaczyć — gdyby to jakaś siła mu ukazała; siła, która przeszłości ukazuje przyszłość — ten Krzyż, w kwiatkach i zniczach, który tam stanął — po katastrofie smoleńskiej, po 10 kwietnia; mógłby zobaczyć tych, którzy pluli na ten Krzyż i szczali na znicze; tych, którzy pod tym Krzyżem tańczyli między klęczącymi; to by go ucieszyło. (R 154)

W kolejnym zdaniu jeszcze czas przeszły („mieszkał”, „miał kilka kroków”, „został spacyfikowany”. „obradowała”, „układała”). I nagle, niespodziewanie, zostajemy wciągnięci w bezpośrednie dzianie się — początkowo nie mamy jednak pewności: w przeszłość czy w terażniejszość? (Za chwilę zostaniemy poinformowani, że jesteśmy jednocześnie w wieku XVIII i XXI.)

Patrzcie! Patrzcie! Przechodzi na skos przez asfaltową jezdnię Krakowskiego Przedmieścia, idzie w kierunku Bristolu wzdłuż ogrodzenia [...], a potem idzie wzdłuż tych potężnych metalowych barier, które tam, wokół krzyża i zniczy, postawiła policja. W swoim szkarłatnym matejkowskim stroju, wyszamerowany. [...] Kuśtyka, idzie wzdłuż srebrnoszarych barier, podchodzi do Krzyża. Podoba mu się ta Warszawa roku 2010. Ogląda obszczone znicze pod Krzyżem — to mu też się podoba. Ogląda drugi krzyż — ten z zielonych puszek po piwie Lech — przymocowany łańcuchem do metalowej bariery — też obszczone. Poprawia kosturem, niby laską, zielone puszki, które trochę się obsunęły. Mija bariery i skręca w lewo, w stronę wejścia Pałacu

Radziwiłłów. Tam umówił się z ambasadorem Stackelbergiem, który ma mu przekazać instrukcje. Ochroniarze w czarnych hełmach rozstępują się z szacunkiem [...]. Dwa szeregi czarnych ochroniarzy albo dwa szeregi pruskich huzarów generała Lentulusa [...]. (R 154–155)

Na poziomie warsztatowym (następstwo czasów przeszłego i teraźniejszego w sekwencji scen i obrazów) realizuje się tu koncepcja wzajemnego przenikania się tego, co minione i tego, co obecne. Przeszłość to teraźniejszość, korzenie dnia dzisiejszego tkwią w dniu wczorajszym — powiada autor *Reytana*. Granica między tymi, na pozór odrębnymi, rzeczywistościami jest płynna, a na poziomie semantycznym w ogóle nie istnieje („szeregi czarnych ochroniarzy albo [...] pruskich huzarów”), zostaje przekreślona i unieważniona. Rola czytelnika polega na możliwie czynnym współtworzeniu znaczeń, na dokonywanej w trakcie lektury operacji przemieszania i utożsamienia dwóch sfer — „niegdyś” i „dziś”, „wtedy” i „teraz”.

Puste miejsca

Poświęcam uwagę tajnikom Rymkiewiczowskiego warsztatu, chciałbym bowiem podkreślić, że *Reytana* należy czytać przede wszystkim jako dzieło sztuki słowa. Na wyraźną skłonność recenzentów do traktowania wcześniejszych tomów „tetralogii polskiej” jedynie jako głosu we współczesnej dyskusji ideowo-politycznej, z pominięciem ich walorów estetycznych, zwracała uwagę w polemice z Jackiem Trznadlem Marzena Woźniak-Łabieniec[2]. Konstatacja, że jest *Reytan* — ukrytą pod przebraniem opowieści „z dziejów dawnych” — niezwykle wyrazistą wypowiedzią na tematy aktualne, nie powinna automatycznie unieważniać perspektywy literaturoznawczej. To

prawda, że przeczytana powierzchownie, książka Rymkiewicza objawi się, być może, jako *exemplum* historyczno-antykwarycznego szczegółarstwa, niewiele znaczący, ekstrawagancki dopisek do martwej przeszłości. Tyle że całe bogactwo *Reytana* skrywa się pod powierzchnią owej dokumentarnej rekonstrukcji, ponad suchym rejestrem zdarzeń, miejsc i osób, pomiędzy tymi elementami całości, które nie pochodzą od samego Rymkiewicza, ale są materiałem cudzym, danym, wyszperanym w archiwach.

Jeśli mówię o konstrukcji, mam na myśli dwudzielność czy dwupoziomowość budowy, na którą składa się coś, co można by nazwać kośćcem i coś, co można by nazwać ciałem. „Kościec”, „szkielet” całej struktury to opowieści przedstawione przez innych, słowem — materiał historyczny. Na „ciało” składa się wszystko, czym pisarz wypełnia miejsca puste, co dopowiada, za pomocą czego dokonuje reinterpretacji znanych (lub nieznanych) faktów. Zdziwienie czytelnika może budzić — równie dyskretne, co konsekwentne — podawanie w wątpliwość autentyczności źródeł. Rymkiewicz wciąż mnoży wątpliwości, w finale redukując niemal cały osiemnastowieczny i dziewiętnastowieczny przekaz do jednej jedynej kwestii wypowiedzianej przez historycznego *Reytana*. Zresztą, jak się okazuje, i tu pewność nie jest stuprocentowa:

Trzeba [...] jeszcze, ażeby w tej kwestii zapanowała całkowita jasność, koniecznie powiedzieć, że spośród tych wszystkich autorów, którzy cytowali słowa *Reytana*, tylko jeden (poza nim samym) 21 kwietnia 1773 roku znajdował się (a dokładnie: nie tyle się znajdował, bo tego nie wiemy, ile mógł się znajdować — i najprawdopodobniej jednak się znajdował) gdzieś w pobliżu otwartych drzwi, w których leżał poseł nowogródzki. Nie było tam ani Staszica, ani Wybickiego, ani Niemcewicza — te słowa, które przytaczali, ktoś im powtórzył, znali je z

jakichś relacji. Staszica ani Wybickiego nie było w roku 1773 w Warszawie, Niemcewicz, który w roku 1773 miał piętnaście lat, był wtedy uczniem Szkoły Rycerskiej, a to znaczy, że mieszkał w Pałacu Kazimierzowskim, ale z obu wersji *Pamiętników czasów moich* jasno wynika, że do Zamku nie chodził i obradom sejmu się nie przysłuchiwał. Tym, który mógł znajdować się w sejmowej sieni, mógł widzieć leżącego na progu Reytana, mógł nawet stać blisko niego i słyszeć jego słowa, był tylko (spośród cytowanych wyżej autorów) Ludwik Cieszkowski. Autor *Pamiętnika anegdotycznego* w roku 1773 (to już wiemy, ale przypominam) był pracownikiem kancelarii sejmu — czyli pracował w Zamku, gdzieś w bliskim sąsiedztwie izby poselskiej. Autentyczność słów: „Ty pierwszy — szelma!” wydaje się więc niemal niewątpliwa. (R 264–265)

„Niemal niewątpliwa”. Po cóż wznosić wielką budowlę ze słów i obrazów, jeśli ostatecznie pozostawia się czytelników w niepewności? Po to, jak mniemam, by oczywisty stał się fakt niepodzielnego panowania autora nad materiałem, który stanowi podstawę (a może jedynie: punkt wyjścia) dla jego rozważań. „Spójrzcie — powiada w ten sposób Rymkiewicz — skoro nie ma autentycznych świadków, godnych zaufania kronikarzy, to ja decyduję, jakiego Reytana wam ukażę, to ja mam moc objawienia wam (w kształcie, jaki uważam za najwłaściwszy) waszej przeszłości i terażniejszości”. Czy oznacza to dowolność w posługiwaniu się źródłami i ich interpretowaniu? Nie. Ale historyczne relacje stają się w ten sposób jakby mniej istotne — nie trzeba już kurczowo się ich trzymać. Znacznie istotniejsze, niejako pierwszoplanowe, stają się ruchy autorskiej wyobraźni, za sprawą których niejako „naocznie” uczestniczymy w procesie formułowania Rymkiewiczowskiej refleksji historiozoficznej, obserwujemy ją *in statu nascendi*, a nawet, w pewnym stopniu, zostajemy przymuszeni do jej współtworzenia.

Sam Rymkiewicz przyznaje bez ogródek: „to jest moja słabość — lubię się domyślać, nie lubię pewności, bo kiedy mam pewność w jakiejś sprawie, to ta sprawa przestaje mnie ciekawić” (R 144). I zachęca odbiorcę — m.in. posługując się dość regularnie czasownikami w liczbie mnogiej (w tym nierzadko formami imperatywnymi): „możemy z łatwością wyobrazić sobie” (R 152), „ wyobraźmy sobie” (R 85), „widzimy” (R 174), „patrzcie! patrzcie!” (R 207), „musimy sobie uzupełnić domysłem” (R 252) — by postępował dokładnie tak samo, tzn. przyjął do wiadomości i usankcjonował brak wyrazistej granicy między faktem historycznym a fabularną kreacją. Na potwierdzenie słuszności niniejszej konstatacji jedno z najbardziej prowokacyjnych stwierdzeń, jakie pojawiają się na kartach *Reytana*:

Daję zatem tutaj to, co hrabia Henryk [Rzewuski] opowiedział o Berezdowie, dokładnie tak jak to jest opowiedziane w *Pamiętkach*, czyli ograniczam się do cytatów. Nie próbując (bo to i niewykonalne, i niepotrzebne) oddzielać prawdy od zmyślenia, beletrystyki od historiografii. Prawda i zmyślenie w jednym stoją domu — a jednym z dowodów na to jest moja książka — o ta, którą właśnie tutaj piszę. (R 106)

Święty Jerzy a sprawa polska

Dichtung und Wahrheit. Prawda i zmyślenie, które nierozdzielnie się ze sobą wiążą i tylko pozostając w owym paradoksalnym związku czynią możliwym widzenie, pozwalają w wydarzeniach minionych dostrzec ich właściwy sens. Niemiecki czasownik *dichten* nazywa wszak nie tylko czynność tworzenia, pisania wierszy, zmyślenia — jego treść to także:

„zagęszczać”, „ściskać”, „wiązać ze sobą”. W prozie Rymkiewicza dokumentalny przekaz, pełen luk i sprzeczności, jawi się właśnie jako struktura niekompletna, jako mapa pełna białych plam, które trzeba wypełnić, by skonfrontować przeszłość z teraźniejszością.

Stawiając rzecz w ten sposób, podejmując takie a nie inne decyzje twórcze, autor *Samuela Zborowskiego* czyni nas bezpośrednimi świadkami narodzin formy, którą najchętniej nazwałbym **traktatem o pamięci**. To dzieło rozpisane na odcinki (kolejne tomy tetralogii), niemające w polskiej kulturze odpowiednika, praca olbrzymia i wciąż nieukończona, *work in progress*, wizja rodząca się na naszych oczach („moja książka — o ta, którą właśnie tutaj piszę”), z którą obcujemy intymnie, dopuszczeni — to jedno ze złudzeń zaprojektowanych i wytworzonych przez poetę — do konfidencji i współnictwa.

Panie Profesorze Rymkiewicz, właśnie o to nas Pan pyta (czyż nie?): co macie (mamy) w głowach? co jest materią waszej (naszej) pamięci? jakim obrazom pozwalacie (pozwalamy) wsączać się w wasze (nasze) myśli? Postaram się na to pytanie odpowiedzieć po swojemu, choć przecież odpowiedź jest także — *implicite* — zawarta w Pańskich książkach.

Konstatacja ta nie będzie szczególnie oryginalna: nasza pamięć ma charakter wybiórczy, to, co ją zaludnia, dostało się tam rozmaitymi kanałami. Czasem decydował o tym przypadek, kiedy indziej był ktoś, kto usilnie dbał o to, by na ekranie naszego mózgu wyświetlały się określone treści. Nikt z nas nie jest w stanie objąć wyobraźnią całej danej nam przeszłości, dlatego tworzymy jej obraz z fragmentów, ścinków. One to, złożone w jakieś prowizoryczne „jedno”, stanowią

fundament naszego orientowania się w świecie, decydują o tym, w jaką ziemię zapuszczamy korzenie, z kim współodczuwamy, a kto pozostaje dla nas obcy. Nasza pamięć, nasza świadomość to **centon**, zlepek obrazów i słów, intuicji i przekonań (próbowałem to pokazać na sposób poetycki w wierszu *Centon* z książeczki *Teoria wiersza polskiego*). W głowach większości z nas są one przemieszane w sposób najzupełniej fantastyczny, tworząc całość przypominającą ekstrawaganckie instalacje współczesnych artystów, wielkie kopce śmieci, z których — kiedy nasze oczy lub uszy nie mogą poradzić sobie z materią świata i muszą ją do czegoś odnieść, z czymś porównać, by zrozumieć, by dać sobie radę — wyławiamy naprędce jakiś stary czerep, znoszony but, wygniecioną plastikową butelkę. Większości z nas to wystarcza, większość, przyjrząwszy się czerepowi lub butelce, oddycha z ulgą i wraca do przerwanych czynności. Ale niektórzy patrzą w czerep, przełykają ślinę i mówią: nie pasuje. Rzeczywistość widzialna nie pasuje do czerepu, czerep do rzeczywistości. To nie jest właściwe wytłumaczenie — mówi niektórym ich mózg. Niekiedy żaden z elementów śmietniska wewnątrz głowy nie tłumaczy tego, co znajduje się w przestrzeni zewnętrznej, a wtedy człowiek dociekliwy zaczyna szukać rozwiązania poza sobą. *Reytan* i wcześniejsze części „tetralogii polskiej” to odpowiedź podsuwana nam, kiedy nie wiemy, co myśleć o własnej historii, o własnym, polskim miejscu w świecie. A często nie wiemy.

Kiedy komuniści rządili w Polsce, robili wszystko, byśmy część naszej tradycji usunęli na zawsze, uznali ją za niepotrzebną i obciążającą. Polskę położono na stole operacyjnym i otwarto jej głowę, by wyciąć z niej to, co do komunistycznej koncepcji dziejów nie przystawało, co kłóciło się z wizją internacjonalistycznego pochodzenia „klasy przodującej”. Nie muszę o tym wszystkim mówić, są to rzeczy znane: podmiana elit, dekonstrukcja pamięci, wytworzenie nowych

mechanizmów myślenia i rozumienia świata. W ramach tej skomplikowanej operacji, przeprowadzonej z sukcesem, choć nie całkowitym, usiłowano wyrugować m.in. tradycję romantyczną, z właściwym jej patriotyzmem insurekcyjnym, z postrzeganiem wspólnoty narodowej jako wartości nadrzędnej, z przywiązaniem do przeszłości (kult przodków) i chrześcijańskich korzeni kultury europejskiej. Komuniści zdawali sobie sprawę z konieczności takiego doboru elementów konstytuujących wspólnotę, by przeciętny Polak nie dostrzegł zmiany, lecz mimo to mógł stać się człowiekiem nowym, wyzbyty pewnych istotnych cech.

Komuniści zaprogramowali zbiorową amnezję — coś wycięli, coś dokleili, zmienili kontekst, dopisali ciąg dalszy, po czym przez czterdzieści pięć lat wtlaczali tę nową układankę, ten centon, w głowy kolejnych pokoleń. Operacja nie miała charakteru jedynie semantycznego — wycinanie i doklejanie odbywało się także na żywym materiale ludzkim. Ciała tych, którzy dysponowali całkiem inną, niekomunistyczną pamięcią, zaludniły ziemię. Ci, którzy pozostali przy życiu, nierzadko spychali swoje wspomnienia głęboko w podświadomość, by funkcjonować w owym nowym wspaniałym świecie jako widma dawnych ludzi, jako umarli za życia. Niektórzy z nich odżyli na chwilę po Sierpniu. W epoce pookrągłostołowej opowiedzieli swoje historie. Domagali się powrotu prawdy i mieli nadzieję na trwałą zmianę. Ale była to nadzieja płonna, zabrakło bowiem (ktoś zadbał, by zabrakło) woli politycznej, by usunąć wraz z korzeniami kłamstwo krzewiące się przez czterdzieści pięć lat. Zamiast tego zaproponowano Polakom jakąś dziwaczną, wewnętrznie sprzeczną, ufundowaną na aporii mieszankę dwóch wizji świata i dwóch systemów wartości. Pamięci przed komunizmem pozwolono się odradzać, ale tylko wśród chaszczy PRL-u. W ten sposób powstała plątanina pojęć, w której przeciętny człowiek — nieczytający książek historycznych, całą swoją

wiedzę czerpiący z kolorowych tygodników i wiadomości telewizyjnych — gubi się bezpowrotnie, a wywołany do odpowiedzi, poproszony o jednoznaczną deklarację ideową, wpada w popłoch i krzyczy: „oni wszyscy są warci siebie, oni wszyscy kłamią”. Śmietnisko w jego głowie, śmietnisko przez kogoś zaprojektowane i urządzone, uzasadnia i uprawomocnia ten bezrozumny okrzyk.

Gdy w ostatnich tygodniach byłem w Wilnie, mieszkałem przy Tilto, u polskiej rodziny podnajmującej pokoje turystom. Tilto to mała uliczka w bezpośrednim sąsiedztwie wileńskiej archikatedry, w której spoczywają szczątki św. Kazimierza. Nie chcę tu jednak mówić o św. Kazimierzu, ale o stojącym właśnie przy Tilto kościele św. Jerzego. Obok tej świątyni przechodziłem każdego dnia, próbowałem nawet dostać się do środka, ale brama okazała się zamknięta na głucho. Pierwszy budynek sakralny wzniesiono w tym miejscu na początku wieku XVI, kolejny, ten, który stoi do dziś, zbudowano w połowie osiemnastego stulecia, jeszcze przed objęciem polskiego tronu przez Stanisława Augusta Poniatowskiego, kilkanaście lat przed konfederacją barską. W kościele jest podobno wiele cennych zabytków malarstwa, ale moją szczególną uwagę wzbudziła informacja, że ambona u św. Jerzego ma kształt rycerskiego rydwanu.

Wyobrażam sobie, widzę — patrzcie! patrzcie! — jak owa ambona wyjeżdża ze świątyni. Ciągnie ją biały rumak, rumak o imieniu Pamięć. Na ambonie, w rydwanie pamięci, stłoczeni wszyscy karmelici trzewickowi, ci sami, którzy przebywali w przykościelnym klasztorze w kwietniu roku 1773 (wtedy właśnie w Warszawie Reytan próbował powstrzymać zatwierdzenie rozbioru Rzeczypospolitej przez sejm Ponińskiego). Rumak bojowy o imieniu Pamięć mknie przez ulice Wilna i mknie przez ulice Warszawy (jest jednocześnie tu i tu), a karmelici,

przeznani z kościoła św. Jerzego pod koniec XVIII stulecia, prosto z rydwanu wygłaszają kazanie o mechanizmach zbiorowego pamiętania i zapominania. Każdy z nich trzyma w ręku foliał lub wolumin, w każdym razie jakąś starą księgę (niektóre z tych ksiąg rozsypują się im w rękach, wtedy z dna rydwanu wyławiają następną).

Dlaczego księgi i dlaczego rydwan pamięci? W roku 1944 na terenie kościoła św. Jerzego urządzono magazyn biblioteczny, zwożono tu podobno księgozbiory ze szlacheckich dworów. Mówi się, że w świątyni stoją ogromne, wysokie na wiele metrów stosy książek, bezcennych świadectw przeszłości, spisanych przez wieki przez polską szlachtę. Do zbiorów tych nie ma dziś dostępu. Moja koleżanka z Uniwersytetu Łódzkiego, pisząca pracę o dziewiętnastowiecznej literaturze kobiecej, dowiadywała się, czy jest jakaś możliwość wejścia do magazynu. Możliwości nie ma. Księgi, książki, woluminy i foliały, dzienniki i pamiętniki, wspomnienia i rejestry spoczywają wśród kurzu, przez okna świątyni wpada promień słoneczny i oświetla pająka spuszczonego się z sufitu na pokrytą pyłem okładkę z wyprawionej cielejącej skóry, której barwa jest nieokreślona — jak nasza współczesna polska tożsamość.

Od dwóch stuleci z okładem niektórzy z nas, z tej zbiorowości, której usiłowano odebrać przeszłość, włamują się do takich kościołów zamienionych na składy książek, na magazyny dokumentów (a w nieodległej epoce także na muzea ateizmu) i coś stamtąd po cichu wynoszą. Jednym z nich, jednym z takich najbardziej upartych włamywaczy, jest w ostatnich latach autor *Reytana*. Widzę Pana, Panie Profesorze Rymkiewicz, w tym rydwanie, na tej ambonie, między zakonnikami (na tle habitów świeci Pańska szara marynarka w pepitkę). Pod pachą dzierży pan zwój rękopisów, w drugiej ręce ma Pan

karmelitański trzewiczek, którym tłucze Pan w rzeźbione drewno ambony, w burtę rydwanu. Krzyczy Pan, a ja — choć ucho natężam ciekawie — muszę dorozumiewać, bo coś (ktoś) wytrwale zagłusza to jedno jedyne słowo. Coś jakby: „pamięć”...

Cywilizacja pamięci vs cywilizacja zapomnienia

W kilku łódzkich księgarniach, do których wszedłem, poszukując *Reytana*, książki Rymkiewicza nie było (w jednej z nich tom figurował, co prawda, w wykazie komputerowym, sprzedawcy nie mogli go jednak odnaleźć na półce). Sytuacji tej, będącej zapewne rezultatem zbiegu okoliczności, nie odczytałbym jako znaczącej, gdyby nie fakt, że w tych samych miejscach (zwłaszcza w jednej z łódzkich księgarni „Matras”) szczególnie eksponowana była inna książka wydana w ostatnich tygodniach — wywiad-rzeka z Jerzym Urbanem. Sytuacja ta wywołała u mnie, jeszcze zanim zapoznałem się z czwartym tomem tetralogii Rymkiewicza, nieuniknioną refleksję dotyczącą mechanizmów zbiorowej pamięci. Żyjemy w kraju, w którym zbyt szybko zapomina się, kto jest kim, co w swoim życiu zdziałał i w jaki sposób wpłynął na kształt rzeczywistości. Wzorzec „grubej kreski”, świadomego odgradzania się od przeszłości oraz, niepoprzedzonego wyznaniem win i pokutą, włączania konstruktorów systemu komunistycznego w życie polityczne, społeczne i gospodarcze po roku 1989, skutkuje właśnie w ten sposób. Postpolityka, której drugie imię brzmi „amnezja”, przemienia zbrodniarzy i zdrajców w ludzi nowych, niekiedy nawet — to coraz bardziej powszechne — czyni ich arbitrami elegancji i sędziami moralności. Taki „*homo novus*” po tej stronie „kreski” jest już kim innym niż był po tamtej stronie — jakby obmyły go wody świętej rzeki, jakby samo przekroczenie wyznaczonej dwustronną umową granicy zdjęło zeń ciężar uczynków przeszłości.

Nie mam wątpliwości, że swoją najnowszą książkę Jarosław Marek Rymkiewicz napisał po to, by uświadomić nam, jak łatwo daliśmy sobie wmówić, że „człowieka nowoczesnego”, „człowieka cywilizowanego” odróżnia od prymitywnego motłochu przekonanie, że w świecie realnym biel i czerni nigdy nie występują osobno, że są doskonale wymieszane. Owo „cywilizowane” myślenie to dalekie echo Piłatowego pytania o prawdę. Poncjusz Piłat pyta Chrystusa: „cóż to jest prawda” i wcale nie czeka na odpowiedź. Dla niego, dla pragmatycznego polityka rzymskiego cesarstwa, prawda obiektywna, prawda absolutna nie istnieje. To, co nazywa prawdą, zawsze jest owocem wyboru, kompromisu między siłami działającymi w świecie. Rymkiewicz upomina się o rzeczywistość, w której istniałby wyraźny podział, w której naród zdolny byłby do sformułowania jednoznacznej oceny czynów postaci publicznych. Właśnie dlatego przywołuje artykuł Mickiewicza z roku 1833 o „ludziach szalonych” i „ludziach rozsądnych”. Właśnie dlatego – wbrew tytułowi – jego książka ma nie jednego, a dwóch głównych bohaterów (charakterystyczne, że na okładce, tuż pod tytułem *Reytan. Upadek Polski*, umieszczono fragment obrazu Matejki przedstawiający Adama Ponińskiego) – niezłomnego, aż do szaleństwa, posła nowogródzkiego oraz biorącego pieniądze z Moskwy wielkiego kuchmistrza koronnego.

Ta dwudzielność konstrukcji, ta dwubiegunowa semantyczna polaryzacja uwidacznia się na obu poziomach najnowszego dzieła Rymkiewicza – na poziomie dokumentarnej deskrypcji faktów (biegun Reytana i biegun Ponińskiego, tzn. wierność przeciwstawiona zdradzie) oraz na poziomie etyczno-historiozoficznej refleksji (o „etyczności” *Reytana* skłonny jestem mówić mimo świadomości, że jego autor

wolałby chyba — świadczy o tym kolejne w tej twórczości nawiązanie do Nietzschego — sytuować się „poza dobrem i złem”, raczej gdzieś w planie nagiej egzystencji).

Konserwatywna wizja dziejów, jaką prezentuje Jarosław Marek Rymkiewicz, ujawnia się najmocniej bodaj we fragmencie poświęconym różnicy między „cywilizacją popiołów” a „cywilizacją zwłok”. Ponieważ uważam rzeczony ustęp za najważniejszy w książce, pozwolę sobie dać go tutaj *in extenso*:

Cmentarne spisy — kto gdzie leży, w jakim towarzystwie i pod jakim drzewem, w jakim kąciku, kto tam z kim rozmawia — to dla badacza przeszłości jeden z najciekawszych, najbardziej obiecujących terenów badań; dla mnie to nawet chyba był, przez kilkadziesiąt lat, teren najciekawszy. Ten teren niebawem zaniknie, bo nie będzie grobów i nasza cywilizacja grobów — choć może lepsza byłaby nazwa: cywilizacja trumien; albo: cywilizacja zwłok — tak zatem nasza cywilizacja trumien-grobów-zwłok niebawem się skończy — zostanie zastąpiona przez cywilizację rozsypanych popiołów. Umarli znikną — w ogóle ich nie będzie — nie będzie ani jednego umarłego — i o to właśnie chodzi cywilizacji, która chce być cywilizacją popiołów, ponieważ nie chce być tym, czym była przez wieki — cywilizacją trumien-grobów-zwłok. Na rozsypanych popiołach, w nich, między nimi i pod nimi, jacyś inni ludzie (jacyś inni — bo już do nas niepodobni) wybudują swoją cywilizację — swoje ulice, pałace, pasy startowe, stacje metra i wieżowce. Jeśli wziąć pod uwagę dzieje planety, dzieje planetarne i dzieje kosmiczne, będzie to przemiana korzystna — bo to będzie kosmiczna niepamięć, cywilizacja kosmicznej niepamięci, a więc cywilizacja zgodna z porządkiem stworzenia. Ale mówmy o śladach pałaców — póki nas nie rozsypano. (R 150)

Napisałem „konserwatywna wizja dziejów”, ale sądzę, że to określenie niefortunne. Wszak w przeciwstawieniu, którym operuje Rymkiewicz, konserwatywne jest wszystko, co związane z myśleniem historycznym. Z kolei po stronie „nowoczesności” należałoby ustawić wszystko, co ahistoryczne i, by tak rzec, bez-dziejowe, słowem — wszystko, co powstaje poprzez wyrugowanie, usunięcie, anihilowanie pamięci.

Miałbym tu ochotę zestawić poglądy wyrażone na kartach *Reytana* z popularną socjologiczną koncepcją Zygmunta Baumana, zadając pytanie, jak ma się wizja historyczności („cywilizacji zwłok”) Jarosława Marka Rymkiewicza do Baumanowskiej teorii „płynnej nowoczesności” (z jej tezą o przyrodzonym współczesnej cywilizacji braku zakorzenienia i swoistym „nomadyzmie” człowieka przełomu XX i XXI wieku). Z braku miejsca i czasu odwołam się jednak tylko do dwóch podrozdziałów książki *Śmierć i nieśmiertelność. O wielości strategii życia*. Podrozdział pierwszy nosi tytuł *Przeżycie jako przywilej grupy* i przynosi analizę historycznego konstytuowania się odrębnych zbiorowości oraz, związanego z tym procesem, eliminowania jednych grup przez inne. Oto dwa urywki z Baumana:

Przeżycie *Y*-a (który nie jest *X*-em) przeczy *uniwersalnej* zasadzie przeżycia, której uosobieniem, najlepszym przykładem i ostatecznym celem jest przeżycie *partykularnego X*-a. Prawda ta, wpisana w istnienie egoistycznych gatunków podzielonych na egoistyczne grupy, rzadko wychodziła na jaw tak otwarcie jak w nazistowskim projekcie świata dostosowanego do nieśmiertelności najzdrowszej i najbardziej męskiej z ras. Partykularność rasy aryjskiej ogłoszona została

uniwersalną zasadą porządku świata; a droga transformacji tej partykularności wiodła poprzez zagładę wszystkich innych, najczęściej wielu, partykularności. [...]

A przecież nazistowski projekt uniwersalnej eksterminacji był jedynie skrajnym i rażąco występny rozwiązaniem problemu, który przekracza rzeczywistość jawnie totalitarnych praktyk i wydaje się charakterystyczny dla kondycji społeczeństwa, w którym nieśmiertelność grupy – ujmowana albo jako przeżycie narodu, tradycji etnicznej, kultury, albo cywilizacji służącej wartościom otoczonym najwyższą czcią – pojmowana jest nie jako automatycznie zagwarantowane osiągnięcie, lecz jako problem – jako zadanie wymagające świadomego planu, inżynierii społecznej, starannie doglądanych działań. O *partykularne* interesy związane z przetrwaniem zawsze walczy się w tych okolicznościach pod sztandarem *uniwersalności*: to, co przemijalne, musi *stać się* trwałe, partykularność musi osiągnąć poziom uniwersalności.[3]

Mówiąc ogólnie, strategia nieśmiertelności grupy polega na zwalnianiu własnej grupy z warunku przemijalności, który obowiązuje wszelkie inne kategorie i zbiorowości gatunku ludzkiego. Inne grupy podlegają wpływowi czasu; ich obecność w historii stała się epizodem. Grupy te na krótko wchodzą na scenę historii, by natychmiast z niej zejść. Samej historii została dana jedność wiecznego, nieprzerwanego kontinuum dzięki nieustającej, rzeczywiście bezczasowej obecności czyjejs własnej grupy lub zasad, których grupa ta, według samej siebie, jest ostatnim i ostatecznym, najdoskonalszym wcieleniem.[4]

Z podrozdziału *Nieśmiertelność przebrana za historię* przepisuję tylko jeden, ale dłuższy, fragment:

Starania zdobywców, które podważają tożsamość pokonanych grup, czyli utrwalają ich własną dominację opartą na przymusie, przekształcając ją w kulturową hegemonię, oznaczają z reguły wykluczenie tych grup z narracji historycznych, co jest jednym z najpilniej i najbardziej konsekwentnie stosowanych środków. Poprzez namowy lub groźby pobite grupy zmuszane są do zapomnienia o swojej historii; a jeśli nie zapominają — czują się nią zawstydzone i zakłopotane, a przez to niezdolne do publicznego opowiadania historii. Okazuje się, że tożsamość grupy nie ma przyszłości, skoro ta skutecznie wyparła się przeszłości wartą chronienia. Pisarzom i opowiadaczom historii podbitego ludu zamyka się usta, osadza ich w więzieniach, przekupuje albo zamracza, żeby na nowo dostroili swoje opowieści. Instytucje edukacyjne pokonanych — te podstawowe wehikuły trwałej pamięci przebranej za plemienną nieśmiertelność — poszły w rozsypkę, zakazano im dostarczać historycznych instrukcji i zaopatrzone w nowe podręczniki oraz nowe programy historii. Zakaz używania własnego języka, tego nośnika oddzielnej historii osadzonej w autonomicznej kulturze, jest skrajnym i najbardziej radykalnym środkiem, do którego zwycięzcy chętnie się odwołują, gdy tylko uznają, że jest skuteczny.

Wraz z każdą zmianą równowagi sił opowiadanie historii zaczyna się od nowa. Hegemonia nad świadomością historyczną jest ściśle związana z opanowaniem dostępnych obecnie zasobów materialnych — a ta wzajemna zależność zachodzi w obu kierunkach. Hegemonia następuje po dominacji — ale często zakwestionowanie tej drugiej zaczyna się wraz z wojną podjazdową przeciw pierwszej.

Starania, by opowiedzieć historię w inny sposób, by inaczej naświetlić wzloty i upadki, odzwierciedlają często morderczą walkę między elitami o hegemonię nad grupą. Podobnie jak działo się to w sporach między grupami, współzawodniczące ze sobą elity bronią i dowodzą swego upoważnienia do wyłącznego reprezentowania „wartości uniwersalnych”, wspólnie przyswojonych przez grupę, roszcząc sobie prawo do szczególnej starożytności swego szacownego dziedzictwa w pozornie wspólnej tradycji; muszą uwydatnić doskonałość swych własnych przodków, a pomniejszyć i oczernić przodków rywalizujących elit. Aby to osiągnąć, walczą o retrospektywne unieśmiertelnienie własnego doboru wielkich nazwisk lub czynów; promują swoją własną listę świętych lub łajdaków [...].[5]

Cytuję Baumana dlatego, że jego stwierdzenia dość dobrze współgrają z ukrytym nurtem tematycznym *Reytana*. Jest też jednak drugi powód, ściśle związany z pierwszym, a dla wielu zapewne mniej widoczny lub całkiem niedostrzegalny. Myślę o praktycznej wiedzy, jaką w tej materii dysponuje profesor Bauman, który od roku 1945 do roku 1953 był zastępcą dowódcy 5. Samodzielnego Batalionu Ochrony Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego do spraw polityczno-wychowawczych[6], tzn. zajmował się formowaniem właściwej „postawy ideowej” żołnierzy oddziałów KBW, powołanych do zwalczania i likwidowania polskiego podziemia antykomunistycznego, do eliminowania tych obrońców wolnej Polski, których dzisiaj obejmujemy wspólnym mianem „żołnierzy wyklętych”. Sam Zygmunt Bauman stwierdził po latach, że do „powyższego fragmentu życiorysu” odnosił się „wszędzie i zawsze w [swoim] długim — dorosłym — życiu publicznym, poświęconym w znacznym stopniu uzmysłowieniu sobie i innym zagrożeń wynikłych z pułapek młodszej naiwności i sideł umysłowego zniewolenia”[7].

Jeśli skłonny jestem sądzić, że fragmenty *Śmierci i nieśmiertelności* korespondują z najważniejszymi pytaniami stawianymi na kartach *Reytana*, to dlatego że Rymkiewicz szczegółowo i plastycznie przedstawia proces powstawania i utrwalania w zbiorowej świadomości mitu ostatniego obrońcy Rzeczypospolitej i – z drugiej strony – czarnej legendy Ponińskiego. Zdaniem pisarza, bitwa o sferę symboliczną rozgrywa się w umysłach prostego ludu, odpornego – przynajmniej do pewnego stopnia – na socjotechniczne zabiegi warstw rządzących: „zdrajcom [...] złorzeczy u nas pospólstwo, o tym, żeby kogoś takiego [jak Poniński] wyciągnąć z karety i zawiesić, myślą ludzie prości, natomiast panowie od złorzeczenia się powstrzymują. Wynikałoby z tego, że pospólstwo wie lepiej, co jest dobre, a co złe dla Polski [...]” (R 180–181).

Co mówi ziemia

6 czerwca tego roku, dzięki życzliwości profesora Krzysztofa Szwagrzyka, mogłem odwiedzić kwaterę „Ł” na warszawskim Cmentarzu Powązkowskim. O Powązkach wspomina autor *Reytana*. 1 września 1790 roku, po ogłoszeniu nań wyroku sądu sejmowego, odbierającego mu wszelkie tytuły, szlacheństwo i nazwisko, Adam Poniński, od tej chwili „człowiek Adam”, opuścił Warszawę, a przyjechawszy do Chrzanowa zorganizował tam „całonocną balangę” (R 182). Następnego dnia, 2 września, wydał obiad na czterdzieści osób właśnie w Powązkach, w tamtejszym pałacu księżnej Lubomirskiej. Dziś Powązki są wielką nekropolią, wciąż niedostatecznie poznaną. Od zeszłego roku właśnie w odległej kwaterze „Ł”, nieopodal pomnika ofiar tragedii smoleńskiej, prowadzone są, pod kierownictwem profesora Szwagrzyka, intensywne prace ekshumacyjne.

W późnych latach czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych chowano tam w tajemnicy zwłoki więźniów zabitych w więzieniu mokotowskim. W prostokącie, którego boki mają po kilkanaście metrów długości, spoczęły ciała 300–400 skazańców lub aresztantów zakatowanych w trakcie przesłuchań. W znakomitej większości byli to bohaterowie okresu okupacji i pierwszych lat powojennych, m.in. generał August Emil Fieldorf „Nil”, major Hieronim Dekutowski „Zapora”, rotmistrz Witold Pilecki, major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko”, podpułkownik Stanisław Kasznica. Ekshumacja to jedynie pierwszy etap prac prowadzonych w kwaterze „Ł”, zwanej także Łączką (w okresie, kiedy grzebano ciała skazańców, była tam łąka – bliscy zamordowanych nie mieli pojęcia, że na tym terenie, który wkrótce zamieniono w cmentarny śmietnik, chowa się zmarłych) – w kolejnej fazie badań ze szczątków pobiera się materiał genetyczny służący identyfikacji ofiar.

Łączka jest dziś najważniejszym miejscem w Polsce, samym centrum polskiej przetrąconej tożsamości. To ziemia, która woła o naszą pamięć. Perfidia władzy komunistycznej sprawiła, że w latach osiemdziesiątych, po wyrównaniu terenu, na miejscu dawnych tajnych pochówków zaczęto wznosić grobowce partyjnych dygnitarzy i oficerów Ludowego Wojska Polskiego. Bezpośrednio nad dołami z anonimowymi ofiarami komunistycznych katów został wymurowany m.in. grób jednego z najbardziej dyspozycyjnych sędziów stalinowskich, podpułkownika Romana Kryże. W bliskim sąsiedztwie kwatery „Ł” stoi grobowiec Julii Brystiger, szefowej V wydziału Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, funkcjonariuszki wyjątkowo inteligentnej i okrutnej, odpowiedzialnej m.in. za prześladowanie Kościoła w pierwszych latach powojennych.

Przyjechałem na Powązki w przeddzień uroczystego odprowadzenia na miejsce tymczasowego spoczynku szczątków wydobytych z głębi ziemi na przełomie maja i czerwca. By dostać się do śmiertelnych dołów, zerwano asfalt cmentarnych alejek, rozebrano także pomnik ofiar stalinowskiego terroru. Teren był już uprzątnięty, powierzchnia ziemi wyrównana. Profesor Krzysztof Szwagrzyk opowiedział mi o ostatnich pracach, jakie tego dnia wykonano — poczyniwszy kilka odwiertów na ścieżkach między grobowcami, naukowcy natrafili na fragmenty kości.

Kilkanaście metrów dalej, w cieniu drzew, mieści się punkt poboru materiału genetycznego. Jeszcze kilka dni wcześniej na stołach pod zadaszeniem spoczywały fragmenty ludzkich szkieletów. Archeolodzy i lekarze pieczęłowicie sklejali fragmenty czaszek, badali ślady po kulach (część wlotowa najczęściej z tyłu głowy, w okolicy potylicznej; część wylotowa z przodu — stąd poważne ubytki kości twarzowych). Z większości ciał pozostało kilka kilogramów szczątków, z niektórych tylko kilogram.

Tysiąc gramów pamięci. Tysiąc gramów żalu. Tysiąc gramów milczenia.

W punkcie poboru materiału genetycznego spotykam panią Grażynę Chojecką, córkę siostrzenicy Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, jednego z najbardziej bohaterskich dowódców podziemia antykomunistycznego, straconego wraz z kilkoma podkomendnymi bezpośrednio po tym, jak udaremiono ich ucieczkę z mokotowskiego więzienia. Rozmawiamy o zmarłych, o śladach relacji i wspomnień rozsypanych po niskonakładowych książkach napisanych przez nielicznych ocalałych (mówimy m.in. o mecenasie Władysławie Sile-

Nowickim). W pewnym momencie pani Grażyna wydobywa z torebki kopertę. Są w niej rodzinne pamiątki — fotografie majora Dekutowskiego z lat czterdziestych. Uśmiechnięta twarz zwykłego dobrego chłopaka, który dostał się między tryby historii. Jako cichociemny zrzucony nad Polską, walczył z Niemcami, a następnie z Sowietami i ich rodzimymi sojusznikami (m.in. z oddziałami KBW). Został ujęty w trakcie próby przekroczenia granicy, w wyniku ubeckiej prowokacji. Wyrok dla niego i towarzyszy: kara śmierci. Metoda katyńska — strzał w potylicę.

Wszyscy ludzie, których spotykam na Łączce, są jakby z innego czasu, z innego świata. Serdeczni i otwarci. W ich oczach smutek i gorycz, ale także światło — wiedzą, że wykonali swoją pracę najlepiej, jak potrafili. Jeszcze dzisiaj myli groby komunistycznych dostojników. W trakcie jutrzejszej uroczystości wszystko musi lśnić, nawet grobowiec sędziego Romana Kryże.

Profesor Szwagrzyk uchyla drzwi plastikowego kontenera i wpuszcza mnie do środka. Panuje tu półmrok. Pod jedną ze ścian rząd skrzynek z sosnowego drewna. Klękam. Zostaję sam. Jest ich osiemdziesiąt dwie. Osiemdziesiąt dwie trumienki — 40 na 60 centymetrów, jak dla niemowląt. To się zgadza, przecież urodzili się na nowo. Wyjęto ich z łona ziemi, ale nie krzyczą, są niemi.

Dotykam dłonią gładkiej powierzchni drewna.

Ja, żywy.

W słowach modlitwy, niezbornych, bezładnych, zawarta jest prośba, byśmy potrafili sprostać nauce, której udzielają nam nieme kości. Byśmy zdołali zrekonstruować, posklejać to wspólne zgruchotane ciało.

„To co nas podzieliło — to się już nie skleci”, napisał Jarosław Marek Rymkiewicz w swoim głośnym wierszu. *Reytan* przynosi kontynuację tej myśli, jest jej rozwinięciem i objaśnieniem. Poeta z Milanówka zdaje się postrzegać polską historię i politykę jako przestrzeń nieustannego, przynajmniej od drugiej połowy XVIII stulecia, ścierania się dwóch postaw, dwóch sposobów postrzegania świata, dwóch wzorców cywilizacyjnych (i ja, trzydziestopięciolatek z początku XXI wieku, skłonny jestem rozumować podobnie). Zwolennicy pierwszego z owych wzorców mają oblicza janusowe — patrzą przed siebie, ale zarazem nie tracą z oczu tego, co minione, a co stanowi ich dziedzictwo. Chcą mieszkać jednocześnie w przeszłości i teraźniejszości, chcą wiedzieć, kim są i skąd przyszli, bo — jak sądzą — będzie im wtedy łatwiej odpowiedzieć nie tylko na pytanie o to, co mają do roboty tu i teraz, ale również ku czemu chcą zmierzać, jaki jest ich ostateczny cel. Ów cel traktują jako wypadkową minionego i obecnego. Przeszłość zobowiązuje ich do wierności, nawet kiedy upadają, każe im się podnosić, przeszłość zmusza ich, by szanowali sami siebie, by nie schodzili poniżej poziomu wyznaczonego przez przodków, do których dziedzictwa wciąż się odwołują. Propagatorzy postawy przeciwnej wołają wciąż: „wybierzmy przyszłość”; oni obawiają się przeszłości, zdając sobie sprawę, że gdzieś tam, u ich zarania, jest hańba. Dlatego wołają, jak Poncjusz Piłat, wyjść nie czekając na odpowiedź. Prawda jest dla nich nieodmiennie zakładniczką okoliczności, uzgadniają ją z trendami i kursami, sprawdzają, skąd wieje wiatr. Nie dziw, że to właśnie oni jawią się jako bardziej błyskotliwi i nowocześni: wszystko płynie — płyną i oni.

Jakie to proste — zakrzyknie czytelnik — zbyt proste, przecież życie jest bardziej skomplikowane, dominują w nim nie czerń i biel, ale rozmaite odcienie szarości. Człowiek jest zarazem zły i dobry, dobry i zły. Odpowiem: zgoda, ale nie każdy (przykłady? Łukasz Ciepliński, Witold Pilecki). Powiem także: nie jest sztuką błędzić, sztuką jest przyznać się do błędu. Może w odniesieniu do polityki to jednak rzeczywiście naiwność. Dzieje powązkowskiej Łączki dostarczają w tej materii wiedzy bolesnej i jednoznacznej. Ci, których ciała zrzucano w tę ziemię z drewnianych plandek, byli sądzeni za „zdradę”. Jako „zdrajcom” odmówiono im pamięci. Zwolennicy prawdy względnej tak zdefiniowali prawo, że ich własny sąd dało się jakoś uzasadnić. Oni zwyciężyli, przynajmniej w oczach tego świata, oni, którzy mają groby i pamiątkowe tablice, zapewnili sobie — tu posłużę się sformułowaniem teoretyka i praktyka Zygmunta Baumana — „nieśmiertelność”, to znaczy „zwolnili własną grupę z warunku przemijalności”. Ich obrońcy, ich spadkobiercy nie przestają powtarzać (na razie jeszcze szeptem): „zdrada! zdrada!”...

Słyszycie?

Przemysław Dakowicz

18 czerwca 2013 r.

Tekst ukazał się w periodyku "Topos" 2013, nr 4.

Zobacz blog autora

[1] J. M. Rymkiewicz, *Reytan. Upadek Polski*, Warszawa 2013, s. 124. W dalszych partiach tekstu stosuję skrót „R”. Cyfra lub liczba oznacza stronę.

[2] Zob. M. Woźniak-Łabieniec, *Falsyfikat i polskie sny*, w: *Spór o Rymkiewicza. Wybór publicystyki*, pod red. T. Rowińskiego, Warszawa 2012, s. 265–266.

[3] Z. Bauman, *Śmierć i nieśmiertelność. O wielości strategii życia*, przeł. N. Leśniewski, Warszawa 1998, s. 141–142.

[4] Tamże, s. 143.

[5] Tamże, s. 146–147.

[6] Por. P. Gontarczyk, *Towarzysz „Semjon”*, „Ozon” 2006, nr z 14 czerwca 2006 r., s. 16–17.

[7] *Konfesjonał bez mikrofonów. Bauman odpowiada „Ozonowi”*, tamże, s. 17.